

A movie poster featuring a man and a woman in 1930s-style clothing standing on a suspension bridge. The man is wearing a brown plaid suit, and the woman is wearing a dark, shimmering dress with a pearl necklace. The background shows the bridge's steel structure and a city skyline in the distance under a dramatic, cloudy sky. The title 'PRZED SWIATEM' is at the bottom, and the publisher 'SAGA EGMONT' is on the right.

CORNELL WOOLRICH

 **SAGA**
EGMONT

PRZED SWIATEM



A movie poster for the film 'Przed świtem' (Before Dawn) by Cornell Woolrich. The poster features a man and a woman in 1940s-style clothing standing on a bridge at night. The man is wearing a plaid suit and the woman is wearing a dark, shimmering dress with a pearl necklace. The background shows the bridge's structure and a city skyline under a dark sky with a bright light source creating a lens flare. The title 'PRZED ŚWITEM' is at the bottom and the author's name 'CORNELL WOOLRICH' is at the top.

CORNELL
WOOLRICH

 SAGA
EGMONT

PRZED ŚWITEM

Cornell Woolrich

Przed świtem

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Saga

Przed świtem

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Tytuł oryginału *Deadline at Dawn*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1944 by William Irish

Copyright © 1971 by JPMorgan Chase Bank, N.A. as Trustee of the
Claire Woolrich Memorial

Scholarship Fund u/w of Cornell Woolrich

Copyright © 2022 by JPMorgan Chase Bank, N.A. as Trustee of the
Claire

Woolrich Memorial Scholarship Fund u/w of Cornell Woolrich

Copyright © 2006, 2022 Cornell Woolrich i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728125229

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa
medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera
dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

...Każda godzina, każda minuta

Może pomieścić w sobie całe Piekło, jak i Raj cały...

Pauline Havard

00:50

Znaczył dla niej tylko tyle co różowy bilecik na tańce. W dodatku zużyty, przedarty na pół. Tyle co dwuipółcentowy zarobek z dziesięciu centów opłaty. Co para stóp napierających na jej stopy i przemieszczających się wedle utartego schematu, krążących po całym parkiecie przez całą noc. Tyle co pusty los na loterii, kompletne zero prowadzące ją, gdzie tylko chciało, dopóki nie dobiegło końca jego pięć minut. Pięć minut wypełnione gradem nut w rytmie 2/4, sypiących się od strony orkiestry jak piach podczas pustynnej burzy, uderzający w zbiór pustych blaszanych wiader. A potem nagła cisza, jak gdyby ktoś wyłączył prąd, i trwająca chwilę czy dwie głuchota na dźwięki. Kilka swobodnych wdechów, kiedy klatki piersiowej nie uciska gorset obcych męskich ramion. A potem wszystko zaczyna się od nowa: kolejne uderzenie piaskowej burzy, kolejny różowy bilecik, kolejna para stóp ścigająca ją po parkiecie, kolejne zero prowadzące tam, gdzie samo zechce.

Tyle właśnie oni wszyscy dla niej znaczyli. Tak właśnie kochała swą pracę. Tak kochała taniec. Zwłaszcza za pieniądze. Czasem żałowała, że nie urodziła się kaleką, nie będącą w stanie zapanować nad ruchem obu nóg. Albo że nie jest głucha, bo wtedy nie słyszałaby dźwięków dobywających się z puzonu zadzierającego ku sufitowi swój długi nos. To trzymałoby ją od tego lokalu z daleka. Może prałaby wówczas czyjeś poplamione koszule w piwnicznej pralni albo szorowała brudne naczynia w jakiejś jadłodajni. Tylko po co było snuć takie marzenia? Nic dobrego z nich

nie przychodziło. Ale czy mogły zaszkodzić? Nic przecież nie było w ten sposób do stracenia.

W całym mieście miała tylko jednego przyjaciela. Tkwił nieruchomo, nie tańczył i to było jego główną zaletą. I zawsze, co wieczór był przy niej, zdawał się mówić: „Trzymaj się dzielnie, mała, została ci jeszcze tylko godzina. Uda ci się, zobaczysz. Już nieraz ci się udawało”. A po chwili: „Nie poddawaj się, jeszcze tylko pół godziny i ani minuty dłużej. Pracuję na twoją korzyść”. I wreszcie: „Jeszcze tylko jedna rundka dokoła parkietu, maleńka. Twój czas już się kończy. Jedna pełna runda i kara na dziś zostanie odbyta. Ta jedna jedyna runda, *tylko* chyba wytrzymasz, *teraz* nie możesz się poddać! Spójrz, moja duża wskazówka jest już tak blisko tej, która wskazuje godziny. Znow to dla ciebie zrobiłem, wybawiłem cię. Zanim wrócisz na to miejsce po pełnej rundzie, będzie pierwsza”.

Zdawał się powtarzać to wszystko co noc. Nigdy jej nie zawiódł. W całym mieście on jeden dodawał jej otuchy. W całym Nowym Jorku jedynie on był jej sojusznikiem — wprawdzie tylko biernym, ale dobre i to. W całym tym świecie jej nie kończących się nocy jedynie on zdawał się mieć serce.

Widziała go tylko przez dwa okna po lewej stronie w głębi sali, te, które wychodziły na boczną uliczkę, za każdym razem, kiedy dotarła w to miejsce, krążąc po parkiecie. Przez okna od frontu, wychodzące na ruchliwą arterię, nie było go widać. Po lewej stronie okna tworzyły cały długi rząd, ale tylko z tych dwóch ostatnich miała jakiś pożytek, bo pozostałe przesłonięte były przez inne budynki. Zawsze pozostawiano je uchylone, żeby wpuścić do sali nieco świeżego powietrza i zareklamować istnienie lokalu na zewnątrz; w ten sposób trafiali tutaj niekiedy zabłąkani, spóźnieni przechodnie. Właśnie przez te dwa ostatnie okna mogła go dostrzec.

Spoglądał na nią łagodnie z góry, mając czasem za tło garstkę rozrzuconych po niebie gwiazd. Gwiazdy nie były jej pomocne, ale on — tak. Jaki był pożytek z gwiazd? Jaki był pożytek z czegokolwiek? Jaki był pożytek z tego, że urodziła się dziewczyną? Mężczyźni przynajmniej nie musieli handlować własną parą nóg. Mogli upokarzać się w inny typowy dla siebie sposób, ale nie w ten.

Jej przyjaciel stał dość daleko, lecz ona miała dobry wzrok. Fosforyzował delikatnie na taftowym tle nocy. Świetlisty krąg niby obręczka. Z dwunastoma świetlistymi nacięciami od wewnątrz. I z parą świetlistych wskazówek, które owe nacięcia odliczały, które nigdy się nie zacinały, nigdy nie stawały w miejscu, nie płały złośliwych figli, ale bezustannie parły do przodu tak, aby mogła skończyć pracę i wreszcie sobie stąd pójść. Był to zegar na wieży budynku Paramount bardzo daleko stąd, na rogu Siódmej Alei i Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Stał po przekątnej od miejsca, w którym się znajdowała, a jednak dzięki jakiemuś niezwykłemu usytuowaniu dachów budynków i kątowi, pod jakim patrzyło się z okna, pozostawał widoczny. Przypominał twarz — wszystkie zegary ją przypominają. Twarz dobrego przyjaciela. Dziwny to był przyjaciel dla szczupłej, dwudziestodwuletniej rudowłosej dziewczyny, a jednak to on właśnie pozwalał jej wytrwać i nie poddać się rozpacz.

Dziwne było też to, że swego przyjaciela mogła zobaczyć także z okien pokoju, który wynajmowała, jeśli tylko stanęła na palcach i wyciągnęła szyję, choć pokój ten znajdował się od niego jeszcze dalej niż tancbuda, gdzie pracowała, a w dodatku z zupełnie innej strony. Ale tam, w czasie bezsennych nocy, wydawał się on jedynie obojętnym gapiem, nie będącym ani z nią, ani przeciwko niej. Tak naprawdę jedynie tutaj, w lokalu, pomiędzy ósmą

wieczorem a pierwszą po północy mógł jej służyć jakąkolwiek pomocą.

Rzuciła tęskne spojrzenie ponad ramieniem tańczącego z nią osobnika, a zegar jej powiedział: „Już za dziesięć. Najgorsze masz prawie za sobą, maleńka. Zaciśnij zęby i zanim się obejrzysz...”

— Tłoczno tu dzisiaj.

Minęła dłuższa chwila, nim zorientowała się, skąd pochodzi głos, nim wydobyła się z próżni nieświadomości. Wreszcie odkryła jego źródło w tym pozbawionym twarzy kompletnym zerze, które w tym momencie prowadziło ją po parkiecie.

Ach, więc zachciało mu się rozmowy, tak? Cóż, niech mu będzie. Zdecydował się na to dość późno w porównaniu z innymi. Tańczył z nią już trzeci czy czwarty raz z rzędu. A zdaje się, że także przed przerwą jej nieprzytomny wzrok wielokrotnie padał na garnitur w podobnym kolorze, chociaż nie była pewna, bo nie zawracała sobie głowy rozróżnianiem partnerów — nigdy. Pan nieśmiały albo małomówny, pewnie stąd ta zwłoka.

— Tak. — Nie mogła odpowiedzieć krócej, chyba że nie zamierzałyby odpowiadać w ogóle.

Spróbował znowu. — Zawsze jest tu taki ścisk?

— Nie, po zamknięciu robi się pusto.

Proszę bardzo, niech sobie na nią patrzy w ten sposób, jak chce. Wcale nie musi być dla niego miła, musi z nim tylko tańczyć. Zapłacił dziesięć centów wyłącznie za pracę jej nóg, nie języka.

Podczas tego ostatniego tańca przyciemniono światła. Jak zwykle zresztą pod koniec wieczoru. Zgasły jupitery, a pary poruszały się po parkiecie, szemrzając jak duchy. Dzięki tej sztuczce klienci mieli poczuć się błogo i wyjść na ulicę z poczuciem, że tego wieczora udało im się odbyć

z kimś małe *tête-à-tête*. A wszystko to za cenę dziesięciu centów i papierowego kubka sztucznie barwionej oranżady.

Poczuła, że odchylając głowę, przygląda się jej uważnie, jakby chciał odgadnąć, co ją ugryzło. Skupiła nieobecny wzrok na migających srebrzystych refleksach, które nieustannie wirowały po ścianach i suficie, rzucane przez lustrzaną kulę nad ich głowami.

Po co miał gapić się w jej twarz, próbując odgadnąć, co ją ugryzło? Przecież i tak nie znalazłby tam odpowiedzi. Może powinien raczej zajrzeć do agencji castingowych rozsianych po całym Nowym Jorku, gdzie jej duch być może tkwił ciągle, usadowiony na krześle jak najbliżej drzwi. Tak, na pewno tam tkwił — tak często je nawiedzała. A może zajrzałby do garderoby tamtej tandetnej, jamajskiej knajpy przydrożnej, gdzie nawet ją zatrudniono, ale skąd musiała uciekać jeszcze przed pierwszym przedstawieniem, bo była na tyle głupia, by za namową właściciela zostać po jednej z prób, gdy inne dziewczyny już sobie poszły? Mógłby też przyjrzeć się automatowi na monety przy Czterdziestej Siódmej Ulicy, temu, który połknął jej ostatnią pięciocentówkę, wypluwając w zamian dwie napęczniałe, mało pożywne bułki, i który od tamtej pory już niczym jej nie uraczył, choćby nie wiadomo jak często stawiała przed nim złakniona, bo nie miała już więcej monet. No a przede wszystkim, czemu nie miałby zajrzeć do zszarganej walizki spoczywającej teraz pod jej łóżkiem w wynajmowanym pokoju? Nie ważyła wiele, ale była pełna. Pełna stęchłych marzeń, z których nie mogło już być żadnego pożytku.

Odpowiedź na swe pytanie mógł znaleźć wszędzie, tylko nie na jej twarzy. Więc po co było jej się tak przypatrywać? Zresztą twarze to przecież tylko maski.

Spróbował szczęścia raz jeszcze. — Nigdy tu wcześniej nie byłem.

Ona jednak nie oderwała wzroku od tańczących po ścianach świetlistych refleksów. — Bardzo nam pana brakowało.

— Przypuszczam, że taniec może być męczący. Pewnie pod koniec wieczora, tak jak teraz, zaczyna się pani dawać we znaki.

Starał się znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla jej nieuprzejmości, by wmówić swemu urażonemu ego, że to nie z jego powodu, że przyczyna leży gdzieś indziej. Wiedziała to; dobrze wiedziała, jacy oni są.

Tym razem podniosła na niego wzrok i zmiażdżyła go spojrzeniem. — Ależ skąd, nigdy mnie to nie męczy. Nigdy nie mam dość. Gdy wracam stąd w nocy do swojego pokoju, ćwiczę jeszcze szpagaty i wymachy.

Momentalnie opuścił wzrok, gdy tylko poczuł żądło tej odpowiedzi, lecz po chwili znowu podniósł oczy. — Jest pani na coś albo na kogoś bardzo zła. — Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie pewnego odkrycia.

— Tak. Na siebie.

Nie poddawał się. Czy nie pojąłby aluzji nawet wówczas, gdyby próbowała wbić mu ją do głowy młotkiem?

— Nie podoba się pani tutaj?

Z wszystkich tych idiotycznych uwag, którymi karmił ją dotąd w swych nieporadnych próbach nawiązania rozmowy, ta rozdrażniła ją najbardziej. Wściekłość coraz mocniej uciskała jej pierś. Czuła, że zaraz wybuchnie i wygarnie mu wszystko prosto w oczy. Na szczęście została wybawiona od konieczności odpowiedzi. Burza piaskowa i pobrzękiwanie blaszanych wiader ustało w końcu, gdy wybrzmiał ostatni fałszywy akord, ze ścian znikły lustrzane refleksy i zapalono główne światła. Trąbka radośnie zagrała na pożegnanie gości.

Nie musiała już dłużej znosić tej wymuszonej tańcem bliskości. Zapłacone przez niego dziesięć centów zostało

odpracowane.

Zdjęła rękę z jego ramienia i zwiesiła bezwładnie, jakby od dawna kończyła ta już była martwa; jednocześnie dyskretnie, lecz zdecydowanie wyślizgnęła się z jego objęć.

Z ust jej dobyło się westchnienie niewypowiedzianej ulgi, którego nawet nie próbowała stłumić.

— Dobranoc — wymamrotała prawie bezgłośnie. — Już zamykamy. — Odwróciła się, by odejść.

Jednak nim to zrobiła, zdumienie malujące się na jego twarzy zdążyło zatrzymać ją na chwilę, na wpół obróconą do niego plecami. Jeszcze bardziej niż zdziwiona mina zafrapowało ją to, jak grzebał po wszystkich kieszeniach, wyciągając z nich całe zwoje połączonych ze sobą biletów na tańce, dopóki z obu garści nie zaczęły wysypywać się różowe zwitki.

Patrzył teraz na nie. — O, rany, chyba niepotrzebnie kupiłem aż tyle — mruknął ponuro bardziej do siebie niż do niej.

— Zamierzał pan tu spędzić cały tydzień czy jak? Ile ich pan kupił?

— Nie pamiętam. Chyba za jakieś dziesięć dolarów. — Podniósł wzrok i spojrzał na nią — Po prostu chciałem tu wejść i nie zastanowiłem się... — zaczął. Zaraz jednak urwał.

Ona zresztą nie czekała, by skończył. — Po prostu chciał pan wejść! — zawołała piskliwie. — Przecież to ponad sto tańców! Nigdy tyle nie gramy w czasie jednego wieczoru. — Spojrzała w stronę foyer. — Nie wiem, co pan z tym jeszcze może zrobić. Kasjer już poszedł do domu i nie dostanie pan zwrotu gotówki za niewykorzystane bilety.

Nadal trzymał je w dłoniach, lecz na jego twarzy malowała się raczej bezradność niż złość z powodu straconych pieniędzy. — Nie chcę zwrotu.

— No to będzie pan musiał przyjść tutaj znowu jutro i w kolejne wieczory, aż zużyje pan wszystkie. Nie utracą ważności.

— Chyba... nie będę mógł — powiedział cicho. Nagle wyciągnął dłonie w jej stronę. — Proszę. Nie chce ich pani? Może je pani wziąć. Dostanie pani prowizję za te, które pani okaże, prawda?

Odruchowo jej ręce wyciągnęły się po bilety, szybko jednak nad nimi zapanowała; cofnęła dłonie i spojrzała na niego. — Nie — odrzekła butnie. — Nic z tego nie rozumiem, ale nie, dzięki.

— Ale mnie na nic się nie przydadzą. Już tu nie wrócę. Nigdy. Może je sobie pani wziąć.

Miałaby z tego spory zarobek. Spory, a w dodatku łatwy. Jednakże dawno temu, nauczona przykrym doświadczeniem, ustanowiła dla siebie pewną regułę. *Nigdy w niczym* im nie ustępować, nawet jeśli nie będzie wiedziała, do czego zmierzają. Jeśli ustąpi choć raz, nieważne w czym, ustąpi też drugi i trzeci, a później będzie jej to przychodzić z coraz większą łatwością.

— Nie — odrzekła stanowczo. — Może to głupie, ale nie chcę żadnej prowizji, jeśli jej nie wytańczyłam. Ani od pana, ani od nikogo innego.

Odwróciła się wreszcie na pięcie i ruszyła do przodu po zdartym parkiecie, na którym prócz ich dwojga nikt już prawie nie pozostał.

Przy drzwiach garderoby po drugiej stronie sali dancingowej raz jeszcze zerknęła tam, gdzie go zostawiła. Był to raczej mimowolny odruch przy otwieraniu tych drzwi niż celowo posłane spojrzenie.

Widziała, jak jego dłonie poruszają się powoli, ugniatając bilety w zwartą kulę. Dokładnie w chwili, gdy na niego spojrzała, rzucił obojętnie guzowatą gałkę na parkiet pod ścianą, odwrócił się i ruszył wolno w stronę foyer.

Przetańczył z nią może sześć kolejek, nie więcej. W takim razie musiał właśnie wyrzucić bilety warte ponad dziewięć dolarów. I nie była to żadna poza, nie chciał się przed nią popisać; wiedziała, iż nie jest świadom, że go w tej chwili obserwuje.

Szastał pieniędzmi, jakby zupełnie nie wiedział, co z nimi zrobić, jakby chciał się ich jak najszybciej pozbyć. Znaczyło to — prawdopodobnie — że nie był przyzwyczajony do ich posiadania. Dzięki swej przenikliwości zdążyła zaobserwować, że ci, którzy pieniądze mieli nieco dłużej, zawsze dobrze wiedzieli, jak je spożytkować.

Wzruszyła jednym ramieniem, weszła do garderoby i zamknęła za sobą drzwi.

Następny etap wieczoru, wyjście z lokalu, określała w myślach jako wielkie wyzwanie, choć już jakiś czas temu przestała się bać. Był teraz jak mijanie brudnej kałuży, która znalazła się na jej drodze — stanowiła niedogodność, ale wystarczyło dać jeden większy rok, by mieć ją za sobą.

Kiedy wyszła z garderoby, światła znów były zgaszone, tym razem na dobre. Pozostawiono tylko jedną lampkę na końcu sali, żeby sprzątaczkę mogły wykonać swoje zadanie. Zwróciła się jeszcze do kogoś, kto pozostał niewidoczny za zamkniętymi drzwiami garderoby:

— Cóż, nie zapraszaj mnie na jakieś podwójne randki, to ci więcej nie odmówię!

Ruszyła wzdłuż jednej ze ścian ponurej, obdartej, ogromnej sali dancingowej, a leżący tam chodnik tłumił odgłos jej kroków, które rozbrzmiały głucho na drewnie tylko w jednym miejscu, gdy ścinała róg.

Ciemność i jasność zamieniły się miejscami. Na zewnątrz było teraz nieco jaśniej niż w mrocznym wnętrzu sali tanecznej. Minęła otwarte dwa ostatnie okna, a jej przyjaciel, sojusznik i wspólnik ukazał swe fosforyzujące oblicze na tle nocnego nieba. Stąpając pośpiesznie,

odwróciła lekko głowę i zdążyła spojrzeć w jego stronę, nim zniknął z pola widzenia, przesłonięty przez okienną ramę. Jeśli nawet błyskawicznie przemknęła między nimi w tej chwili jakaś wiadomość, wyraz wdzięczności, to była to wyłącznie ich sprawa, jej i jego.

Popchnęła skrzydła wahadłowych drzwi i przeszła do wciąż oświetlonego, ciągnącego się aż po schody foyer, gdzie znajdowała się kasa biletowa i szatnia oraz dwie zniszczone ratanowe sofy.

Było ich tam dwóch. Zawsze ktoś zostawał. Zawsze ktoś się kręcił. Gdyby zaczekać do świtu, na pewno znalazłoby się ze dwóch takich, którzy wciąż by się tu snuli. Jeden, z nogą przewieszoną bezwładnie przez bok kanapy, siedział rozparty, czekając pewnie na kogoś, kto jeszcze nie wyszedł; ledwo na nią spojrzał. Drugi, stojący u szczytu schodów, był — jak się zorientowała, mijając go — tym, który przetańczył z nią chyba ze sześć tańców.

Nie wpatrywał się jednak wyczekująco w drzwi, którymi wyszła, lecz spoglądał w skupieniu na schody, w stronę ulicy. Jak gdyby zatrzymała go raczej niemożność podjęcia decyzji, dokąd pójść, niż chęć spotkania jakiejś konkretnej osoby. Prawdę mówiąc, sądząc po zaskoczonym spojrzeniu, jakim ją obdarzył, nie zauważył nawet, jak się do niego zbliżyła.

Minęłaby go bez słowa i poszła dalej, ale mężczyzna uniósł rękę do kapelusza — zdążył go już bowiem założyć — i spytał:

— Idzie pani do domu?

Na sali tanecznej była niezbyt przyjemna, ale tu, w foyer, stała się zjadliwa jak żmija. Znajdowała się na terytorium wroga. Nie było tu wykidajły, który by ją ochronił, była zdana wyłącznie na siebie.

— Nie, właśnie przyszłam. Zawsze wchodzę po schodach tyłem, żeby nikt nie zobaczył mojej twarzy i mnie

nie rozpoznał.

Pokonała wyłożone gumą i wykończone metalem stopnie i wyszła na zewnątrz. On tymczasem został na górze, jakby wciąż nie wiedział, co ze sobą zrobić. Nie czekał na nikogo, bo w budynku została jeszcze tylko jedna dziewczyna, która była już z kimś umówiona. Znów wzruszyła lekko jednym ramieniem, lecz tym razem tylko w myślach, nie w rzeczywistości. Co ją to obchodziło? Co ją to wszystko — w tym on i jemu podobni — mogło obchodzić?

Przyjemnie było odetchnąć świeżym powietrzem. Wszystko było lepsze od tego miejsca na górze. Zawsze po wyjściu na zewnątrz wypuszczała powietrze z płuc, po części z ulgą, a po części z wyczerpania. Nie inaczej było i tym razem.

Tu, na ulicy, mogło być naprawdę niebezpiecznie. Kilka mrocznych postaci z papierosami w zębach snuło się dokoła w pewnym oddaleniu od drzwi — wołała nie przyglądać się im, gdy wyszła; zamiast tego skręciła zaraz i ruszyła swoją drogą. Zawsze się tu kręcili; jeszcze się nie zdarzyło, by ich nie zastała. Byli jak kocury czyhające przy mysiej dziurze. Tamci, którzy zostawali na górze, czekali zwykle na jakąś konkretną dziewczynę; ci tutaj, na dole, dybali na kogokolwiek.

Dobrze znała to zagrożenie. Mogłaby napisać o nim książkę. Szkoda tylko było psuć na taką pisaninę porządny biały papier, ot co. Bezpośredni atak nigdy nie następował od razu — zawsze musiał upłynąć jakiś czas. Nie następował też nigdy przy samych drzwiach — był wstrzymywany do chwili, aż oddaliła się nieco od budynku. Czasem przychodziło jej do głowy, że ma to związek z odwagą. Zamiast spotkać się z myszą oko w oko, walczne kocury wołały zaczekać, aż ta zwróci się do nich plecami. Innymi razy wydawało jej się, że ich niedorozwinięte mózdzki potrzebują czasu na podjęcie decyzji dotyczącej

wyboru ofiary. Jeszcze kiedy indziej myślała po prostu: „Do diabła z nimi”. A często, bardzo często, nie myślała o nich wcale — traktowała tę sytuację jak brudną kałużę, którą należało minąć w drodze do domu.

Tego wieczoru atak przybrał formę gwizdu. Formę dość popularną. Nie był to jednak porządny, szczery, przeszywający powietrze gwizd. Był cichy i ukradkowy. Wiedziała, że chodzi o nią. Po chwili usłyszała coś, co potwierdziło jej domysły.

— Dokąd tak pędzisz?

Nawet nie przyspieszyła kroku; dałaby mu jedynie tym większą satysfakcję. Gdy tylko wyczuli strach, robili się tym bardziej zuchwali...

Wokół jej ramienia, tuż powyżej łokcia oplotły się jakieś palce. Nie próbowała się wyrwać. Stała i popatrzyła na hamującą ją rękę, ale nie na twarz.

— Puszczaj — powiedziała śmiertelnie lodowatym tonem.

— Co jest, nie poznajesz mnie? Mamy problemy z pamięcią?

Jej oczy wydawały się jedynie wąskimi szparkami bieli na tle panującej na ulicy ciemności. — Słuchaj, ja już skończyłam pracę. Wystarczy, że muszę gadać z takimi typami jak ty...

— Dwa dni temu tam, na górze, chyba nie byłem taki znowu najgorszy, co?

Nie puszczając jej ramienia, przeszedł przed nią i zablokował jej drogę. Ona jednak nie zamierzała się cofnąć ani nawet dać mu tej satysfakcji, próbując minąć go bokiem.

— Strasznie się wtedy wykosztowałeś — rzekła. — Sześćdziesiąt centów w ciągu jednego wieczora, a teraz próbujesz wymusić na chodniku coś gratis.

Przy krawężniku zaparkowała taksówka, przywołana przez niego tak dyskretnie, że nawet tego nie zauważyła.

Jej drzwi stały otworem, zapraszając do środka.

— No dobra, niech ci będzie, nie jesteś z tych łatwych. Odegrałaś już swoją rolę. Wierzę ci. A teraz chodź, taksówka czeka.

— Z tobą nie wsiadłabym nawet do tramwaju, nie mówiąc już o taksówce.

Próbował wsadzić ją do samochodu, częściowo podstępem, a częściowo siłą.

Udało jej się zatrzęsnać otwarte drzwi, a on przyparł ją do nich jak do muru.

Naprzeciwko nich zatrzymał się jakiś mężczyzna. Ten sam, który stał na górze w foyer, kiedy wyszła z sali. Spostrzegła go ponad ramieniem swego prześladowcy. Nie zawołała go jednak, nie poprosiła o pomoc. Jeszcze nigdy w takiej sytuacji nikogo o nią nie prosiła. W ten sposób unikała rozczarowań. Zresztą nie działo się nic strasznego; za chwilę byłoby po wszystkim.

Mężczyzna zbliżył się do nich i zwrócił się do niej niepewnie: — Czy chciałaby pani, żebym coś zrobił?

— Niech pan przynajmniej tak nie stoi. Co panu się wydaje, że nagrywamy audycję „Bohater dnia”? Jak sam pan boi się kiwnąć palcem, to proszę chociaż zawołać policję.

— Och, to nie będzie konieczne, proszę pani — odparł z jakąś taką pokorą i skromnością, które zupełnie nie pasowały do okoliczności.

Odwrócił drugiego mężczyznę ku sobie, a ona usłyszała odgłos uderzenia, choć nic nie widziała. Cios trafił w jakąś stosunkowo słabo osłoniętą kość — pewnie w żuchwę. Uderzony zachwiał się, poleciał na tylny błotnik auta i osunął się po nim na bruk, półleżąc teraz i wspierając się na jednym łokciu.

Cała trójka zastygła w bezruchu.

W końcu znokautowany dźwignął się na nogi dziwnie wstecznym ruchem, odpychając się najpierw stopami od chodnika i wlokąc po nim nogi, chcąc odsunąć się na tyle, by mieć pewność, że gdy wstanie, będzie już poza zasięgiem ciosów. Kiedy się już podniósł, odwrócił się, nie wygrażając i nie okazując żadnej wrogości, jakby był zbyt praktyczny na to, by tracić czas na tak heroiczne popisy, i oddalił się, otrzepując z kurzu nogawkę spodni.

Za moment odjechała też taksówka, gdy tylko szofer jednym szybkim spojrzeniem ocenił sytuację i uznał, że dziewczyna z nowym towarzyszem nie zamierza skorzystać z jego usług.

Jej podziękowanie trudno byłoby uznać za wylewne: — Zawsze pan tak długo czeka?

— Nie wiedziałem, czy to nie jest jakiś pani przyjaciel — wymamrotał skromnie.

— A według pana przyjaciele mają prawo napadać na człowieka w drodze do domu. Sam pan też się tak zachowuje?

Uśmiechnął się nieznacznie. — W zasadzie to nie mam żadnych przyjaciół.

— To tak jak ja — rzuciła szorstko. — I może pan być pewny, że wcale ich mieć nie chcę. — Posłała mu spojrzenie, które nie pozostawiło żadnych wątpliwości, iż uwaga ta dotyczyła też jego.

Wiedział już, że dziewczyna zaraz się odwróci i pójdzie swoją drogą, nie mówiąc nic więcej. — Nazywam się Quinn Williams — wypalił, jakby za wszelką cenę chciał ją jeszcze na chwilę zatrzymać.

— Miło mi. — Sposób, w jaki wypowiedziała te słowa, całkowicie przeczył ich znaczeniu. Zabrzmiały jak huk ołowianego odważnika spadającego na metalową ladę.

Ruszyła już znowu w swoją stronę, jak gdyby nigdy nic, jakby przed chwilą nic jej nie zatrzymało.

On odwrócił się i spojrzał za siebie tam, gdzie zniknął napastujący ją mężczyzna. — Może panią kawałek odprowadzę? — zapytał.

Nie wyraziła zgody, ale też nie zaprotestowała. — On już tu nie wróci. — Tylko tyle powiedziała.

Uznał tę lakoniczną odpowiedź za pełną zgodę, dogonił ją i szedł obok w stosownej odległości około metra.

Od wejścia do tancbudy, w której pracowała, do najbliższej przecznicy szli w kompletnym milczeniu: ona nie zamierzała się silić na jakiekolwiek pogaduszki, a on — sądząc po tych kilku nieudanych próbach nawiązania rozmowy — nie wiedział, jak się za to zabrać, czuł się onieśmielony i nie miał pojęcia, co mówić teraz, gdy już nadarzyła się sposobność, by jej towarzyszyć.

Przeszli przez skrzyżowanie, a ona zauważyła, że on ogląda się za siebie. Nie skomentowała tego.

Do kolejnej przecznicy szli nadal w grobowym milczeniu. Ona patrzyła prosto przed siebie, jakby była zupełnie sama. Nie zawdzięczała mu nic, nie prosiła go, by ją odprowadził.

Dotarli do drugiego i ostatniego skrzyżowania.

— Tu skręcam na zachód — rzuciła tylko i bez zbędnych ceregieli obróciła się, chcąc odejść.

Nie pojął aluzji. Skręcił z lekkim opóźnieniem i znów się z nią zrównał, mruczając niewyraźnie pod nosem: — Skoro doszedłem aż tutaj, równie dobrze mogę pójść z panią dalej.

Chwilę wcześniej jednak znów zauważyła, jak się za siebie ogląda. — Niech się pan tak nie martwi — zaszydziła. — Zniknął na dobre.

— Kto? — zapytał nieprzytomnie, lecz zaraz, jak gdyby uświadamiając sobie, o kim mowa, dodał: — Ach, to nie o niego chodzi.

Zatrzymała się raptem, by mu pokazać, gdzie jest jego miejsce. — Niech pan posłucha, nie prosłam, żeby mnie pan odprowadzał. Jeśli ma pan na to ochotę, proszę bardzo.

Jest tylko jedno ale. Niech pan sobie za wiele nie wyobraża. Żadnych głupich pomysłów.

Przyjął to w milczeniu. Nie protestował, że źle go oceniła. To była bodaj pierwsza rzecz, jaka jej się w nim spodobała, i pierwsza pozytywna ocena jego osoby, na jaką sobie pozwoliła, odkąd spotkali się godzinę czy dwie temu. Ale wobec wszystkich mężczyzn, których poznała w taki sposób jak jego, żywiła głębokie uprzedzenie zrodzone z nauczki, którą dostała już dawno temu: im mniej okropni wydawali się na początku znajomości, tym bardziej trzeba było uważać, bo tym gorsi mogli się okazać z biegiem czasu, po tym, jak już choć częściowo zyskali jej względy.

Szli dalej, nadal oddaleni o jakiś metr od siebie, przez cały czas w milczeniu, a ich bycie razem polegało jedynie na tym, że równolegle posuwali się naprzód. To był najdziwniejszy powrót do domu, jaki jej się przytrafił, ale gdyby ktoś miał ją jeszcze kiedyś odprowadzać, to chciałyby, żeby odbywało się to właśnie w taki sposób jak teraz.

Skręcili w boczną, ciemną jak tunel uliczkę, którą dawniej biegly w stronę Dziewiętej Alei tory kolejki nadziemnej. Teraz tory zlikwidowano, ale rozwój ulicy został zahamowany przez funkcję, jaką pełniła przez sześćdziesiąt lat. Składały się na nią płaskie, ślepe mury magazynów, łukowata tylna ściana znanego lodowiska, przywodząca na myśl zbożowy silos, powstałe u zbiegów ulic wyrwy w rzędach budynków, stanowiące pamiątkę po Wielkim Kryzysie, nigdy ponownie nie zabudowane, teraz wykorzystywane jako parkingi.

Latarnie, rzadko rozsiane i nieliczne, rzucały na nich słabe, blade światło, przypominające talk sypiący się z dziurek odwróconego do góry dnem pojemnika, lecz po krótkiej chwili ich sylwetki na powrót ciemniały i rozpływały się w otaczającym mroku.

Wreszcie się odezwał. Nie pamiętała dokładnie, ale zdawało jej się, że to chyba pierwsza uwaga, jaką poczynił od czasu rozróby przy taksówce.

— Czy to znaczy, że co noc chodzi pani tędy sama?

— A czemu nie? Tu wcale nie jest gorzej niż tam. Poza tym *tutaj*, gdyby ktoś mnie napadł, zabrałby mi najwyżej torebkę.

Miała ochotę dodać: „A co, czyżby *pan* się bał?”, ale ugryzła się w język. Głównie dlatego, że nie zrobił ani nie powiedział nic, co sprowokowałoby taki docinek, a poza tym miała już dosyć czyhania na wszystko dokoła z wystawionymi dla obrony pazurami; miło było schować je raz, dla odmiany.

Znowu się obejrzał. Już po raz drugi czy trzeci. Nawet jeśli spodziewał się coś ujrzeć, to i tak w ciemności, przez którą właśnie brnęli, nie byłby w stanie niczego zobaczyć.

Tym razem jednak nie udawała, że niczego nie zauważyła. — Czego się pan boi? Że rzuci się na pana od tyłu z nożem w rękę? Nie robi tego, niech się pan nie martwi.

— Och, chodzi pani o *niego*? — rzekł. — To znaczy o tamtego faceta? — Spojrzał na nią zdziwiony, jakby jego myśli biegły zupełnie innym torem.

Uśmiechnął się niepewnie i z zakłopotaniem potarł dłoń o kark, jak gdyby tam właśnie chciał wskazać winowajcę swojego zachowania, jakby nie miało ono nic wspólnego z jego wolą. Chwilę później ujął to w słowa, mówiąc poniekąd do samego siebie.

— Sam nie zdawałem sobie sprawy, że to robię. Chyba mi to weszło w nawyk.

Coś go gryzie, pomyślała. Nikt nie ogląda się za siebie co kilka kroków bez ważnego powodu. I, co dziwne, uwierzyła, że jego zachowanie nie ma nic wspólnego

z niedawną bójką. Za każdym razem, gdy go przyłapała, jego reakcja dobitnie o tym świadczyła. Jego ostrożność nie dotyczyła jedynie kawałka chodnika znajdującego się bezpośrednio za nimi i osobnika, który mógł się tam ewentualnie czać — miała znaczenie bardziej ogólne, szersze, dotyczyła całej nocy, jaką za sobą zostawiał. Nocy w jej dwóch aspektach: minionych godzin i niezmiernie głębokiej.

A kiedy przypominała sobie tę ogromną ilość biletów, które wyciągnął jeszcze na sali i których pozbył się z taką rozrzutnością, jak gdyby nagle całkowicie straciły wartość, jak gdyby nie miał już możliwości ich wykorzystania w późniejszym terminie, zdała sobie sprawę, że to wszystko układa się w jedną całość.

Przypominała sobie coś jeszcze i zapytała:

— Kiedy wyszłam z sali, a pan stał w foyer u szczytu schodów, czy... no wie pan, czy wtedy czekał pan na kogoś?

— Nie — odparł. — Nie czekałem.

— To dlaczego został pan tam po zamknięciu?

Wiedziała, że na nikogo nie czekał, bo patrzył w *dół* schodów, a nie w stronę drzwi na salę.

— Nie wiem — odrzekł. — Chyba... chyba nie wiedziałem, dokąd pójść, co ze sobą zrobić, jak już zamknęli lokal. Chyba... chyba właśnie... próbowałem zdecydować, dokąd się udać.

W takim razie dlaczego nie stał na zewnątrz, przy wyjściu na ulicę? Zdaje się, że *to* byłoby bardziej naturalne miejsce dla takich rozważań. Nie zadała mu tego pytania. Odpowiedź przyszła sama. Stojąc u szczytu schodów, człowiek był niewidoczny, a zatem bezpieczny; stojąc na dole, przy wyjściu, mógł zostać dostrzeżony. Jeśli ktoś go szukał. Lub jeśli tak mu się przynajmniej wydawało.

Jednakże nie zapytała go o to z innego powodu, wcale nie dlatego, że przyszło jej do głowy tak oczywiste

wyjaśnienie. Nie zrobiła tego, bo jej umysł się w tej chwili zamknął, jakby opadła w nim nagle spuszczana krata w bramie twierdzy, z ostrym, bezlitosnym zgrzytem blokując drogę każdemu, kto chciałby się do niego wdrzeć: A co to *ciebie* obchodzi? Co ci do tego? Po co chcesz to wiedzieć? To wyłącznie jego sprawa. Kim ty właściwie jesteś — siostrą miłosierdzia, wdrażającą przyjezdnych w życie w mieście? Czy ktoś kiedyś troszczył się *o ciebie*?

Milcząc zgorzkniale, w duchu ganiła samą siebie: „*Wciąż* niczego się nie nauczyłaś, co? Dostajesz bolesną nauczkę, a mimo to zaraz wyciągasz rękę do następnego, jaki się tylko pojawi. Jak należałoby ci to w końcu wbić do głowy, hę? Stukilowym młotem?”

Znowu się obejrzał, lecz nie zareagowała.

Doszli do Dziewiątej Alei, szerokiej i ponurej w swym niechlujstwie i mroku, których nie były w stanie rozprościć nawet białe i czerwone koraliki świateł przemykających aut.

Stali przez chwilę na skraju chodnika. Toczące się koraliki zaczęły zwalniać i tłoczyć się, tworząc po obu stronach skrzyżowania, jak okiem sięgnąć, tandetne diademy, które wkrótce znowu miały rozciągnąć się i popękać.

Zdążyła już zejść z krawężnika. On jednak na moment się cofnął. Zwykły falstart, nic takiego. Drobiazg.

— Chodźmy, mamy akurat światło — rzekła.

Ruszył natychmiast przez jezdnię jej śladem, ale zdradził go ten dziwny manewr. Skoro zaistniał skutek, to na pewno gdzieś w pobliżu musiała być jego przyczyna, wystarczyło się rozejrzeć. Uświadomiła sobie, że to nie światła go powstrzymały, lecz widok samotnej sylwetki po drugiej stronie ulicy, która spokojnie się od nich oddalała — sylwetki patrolującego policjanta.

Zrozumiała to, widząc, jak odprowadził wzrokiem stróża prawa i dopiero wtedy spojrzął na światła, na które właśnie zwróciła mu uwagę.

Brama twierdzy jej umysłu pozostawała zamknięta.

Przeszli na drugą stronę i dali się pochłonać paszczy prowadzącej na zachód przecznicy. Trzy anemicznie świecące latarnie, ustawione rzadko na zdającej się nie mieć końca ulicy, nie rozpraszały panującej tu ciemności, a wręcz przeciwnie, niemalże ją podkreślały. Całkiem jakby chciały powiedzieć: „Widzicie? Tak wygląda światło — w odróżnieniu od ciemności”.

W powietrzu unosiła się teraz wilgoć związana z bliskością rzeki, której nie dało się odczuć wcześniej. W mroku przed nimi zajęczała żałośnie syrena holownika. Po chwili odpowiedziała jej druga, gdzieś od strony wybrzeża New Jersey.

— Już niedaleko — rzekła.

— Jeszcze nigdy aż tu nie zaszedłem — przyznał.

— Za pięć dolarów tygodniowo nie da się mieszkać w większej odległości od rzeki. — Po chwili, mimo że on nie wyraził najmniejszej chęci wycofania się, dodała: — Jeśli to panu nie pasuje, to w każdej chwili może pan odejść.

— Nie twierdzę, że mi coś nie pasuje — odparł dyplomatycznie.

Otworzyła torebkę i sprawdziła, czy ma klucz; tak na wszelki wypadek, by mieć pewność, że jest na swoim miejscu.

Zatrzymała się, gdy dotarli do plamy światła rzucanego przez środkową latarnię, a sypiące się z niej talkowe drobinki oprószyły ich, czyniąc znów widzialnymi.

— No to jesteśmy na miejscu — oznajmiła.

Spojrzął na nią. Pomyślała, że to wręcz głupota, gapić się w ten sposób. Całkiem jak wół na malowane wrota.

Jak gdyby nie mógł zrozumieć, że oto się rozstają i od tej pory znowu będzie sam. No, w każdym razie coś w tym stylu. Ale przynajmniej nie silił się na nic innego, na żadne czułości ani temu podobne.

Brama znajdowała się naprzeciw nich — prawie dokładnie na wprost. Pozostawała otwarta na ulicę, a niebezpieczeństwo związane z wejściem łagodziło tylko blade światło, które sączyło się gdzieś z głębi budynku, nie dosięgając jednak samych drzwi, tak iż część korytarza tonęła w mroku. Mimo wszystko było to lepsze niż nic. Przedtem światło gaszono, a ona truchlała na myśl, że musi wkroczyć w tę ciemność w środku nocy. Tak było do czasu, gdy kogoś zadźgano nożem na klatce schodowej; od tamtej pory światło na dole paliło się zawsze przez całą noc. Teraz, pomyślała z cynizmem, przynajmniej potencjalna ofiara mogła zobaczyć swego oprawcę przed śmiercią.

Nie przedłużała pożegnania, lecz oddaliła się od swego towarzysza, gdy ten wciąż jeszcze bezskutecznie starał się wymyślić, co by tu po-; wiedzieć na dobranoc. Chodziło o to, by zwiększyć dystans, znaleźć się poza zasięgiem jego ramion. Doświadczenie nauczyło ją, że lepiej jest rozstać się w taki sposób, niż stać i wysłuchiwać protestów i narzekań. Musiało tak być i już.

— No to powodzenia — rzuciła. I nagle już była w bramie, podczas gdy on stał samotnie na chodniku. — Do zobaczenia — dodała już stamtąd, myśląc coś wręcz przeciwnego, że już go więcej nie zobaczy, a on nie zobaczy jej, koniec i kropka.

Lecz jeszcze zanim weszła do środka, zdążyła dostrzec, jak on znów odwraca głowę i wzrokiem bada mrok, z którego się wyłonili. Strach tłumił w nim wszelkie romantyczne zapędy.

Ale co on właściwie dla niej znaczył? Tyle co różowy bilecik przedarty na pół. Co dwa i pół centa zarobku z dziesięciu centów zapłaty. Co para stóp, pusty los na loterii, kompletne zero.